

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

REJ z NAGŁOWIC.

ROK 1841.

Poznań, dnia 18. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydane jest rycina mąd paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłatę wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Marzenie było mu życiem.

Powieść przez Stefanią F....

(Dokończenie.)

Zegar uderzył godzinę — a ten dźwięk powolny wyrwał Janusza łzom jego. Była to godzina zemsty — był to głos przypominający, że jeszcze nie wszystko skończone dlań na świecie, że jeszcze jeden obrachunek do załatwienia pozostaje. Podniósł upuszczony przed chwilą pistolet — zamknął je w szkatułce — na karteczce wyrwanej naprędce z pugilaresu napisał tylko te słowa: „Bądź zdrowa!” i posławszy sługę po pojazd na pocztę, wraz z nim siadł do niego i szkatułkę z bronią obok siebie położył. Zaledwie stanął w lasku Bielańskim, wkrótce nadjechał przeciwnik jego p. August, wraz z drugim przyjaciелеm. Janusz błady jak trup — ręce jego drżały całą namiętnością, która duszą miofała — stłumionym nareszcie głosem rzekł: „gdzie broń!?” Przyjaciel Augusta wyjął pistolety, obejrzał, nabił — przeciwnicy stanęli przeciw sobie. „Nie!” zawołał Janusz — „jeden z nas zginąć musi — obadwa chodzić nie możemy po ziemi.” Porwał pistolety, z jednego wykręcił nabój — oddał obadwa sekundantowi. „Wybierajmy na oślep!” — August osłupiał — wytrzeszczył oczy na Janusza. — „Ależ to morderstwo!” odrzekł sekundant — „na to pozwolić nie można.” — „Co! nie można?” krzyknął Janusz zapamiętały — „wybieraj podły! albo od razu roztrzaskam ci obadwa na głowie — wybieraj!” — porwał Augusta za rękę. „Zbrodniarzu! podły człowiecze! boisz się zemsty Boga — ale nie boisz się obrazy!” August orzeźwiał, oczy mu się zaiskrzyły, wyraz podły

Rok drugi.

i w nim krew przecie oburzył. — „A więc wybierajmy!” zawołał — przypadł do sekundanta, wsadził rękę pod płaszcz, którym przykryte były pistolety, wyciągnął jeden — drugi wziął Janusz — przystąpili do siebie — kurki spuszczone zachrząściły — huk się rozszedł w powietrzu. August leżał bez duszy — Janusza los ocalił. Lecz widok nawet śmierci przeciwnika nie rozbroił uczucia zemsty i nienawiści w sercu Janusza — z pogardą kopnął zwłoki Augusta, uśmiech szyderyczy i gorzki przekrzywił usta jego, rzucił pistolet na ziemię i powoli oddalił się z miejsca boju. Nie daleko stał kocz pocztowemi zaprzężony końmi, wraz ze służącym Janusza — jemu oddał kartkę rano napisaną, dodawszy do niej coś jeszcze. „To do panny sędzianki — rozumiesz? potem idź do wioski mojej” — więcej nic nie rzekł, wsiadł do koczka, krzyknął „ruszaj!” i odjechał.

W wieczór dnia tegoż sługa Janusza wszedł cicho i ostrożnie do mieszkania Maryi ojca. Wszystko tam było posępne, milczące; rzekłbyś raczej: dzień śmierci i pogrzebu jednego z mieszkańców, niż dzień wesela, którego ranek słońce szczęścia oświecało. Nikt go nie spotkał, nikt go nie powitał — szedł niepostrzeżony aż do drzwi Maryi pokoju. Tam dopiero spotkała go służebna Maryi — poznawszy sługę Janusza, chciała go pytać o coś, lecz on wziął ją za rękę, wręczył jej małą kartkę: „oddaj to pannie” rzekł z cicha. — „A pan twój — a pan Janusz?” wyrzekła ciekawa służebna. — „Żyje...” odrzekł sługa. — „Żyje? alboż miał umierać! — powiedz prędko, co wiesz, co się stało! Boże! co to wszystko znaczy, gdzie twój pan?” — „Mój pan? — ja nie wiem, gdzie on jest — oddaj tylko pannie tę kartkę — ja nie mam czasu rozmawiać.” — Ma-

rya wzięła oddaną sobie kartkę — Janusz ołówkiem skreślił naprędce słów kilka: »Żyję! i na tej ziemi ujrzymy się jeszcze — bądź zdrowa!«

IX.

Ach! wieczności się nie zlekne,
Śmierć nie budzi wstrętu we mnie —
Bo tam znajdę te dni piękne,
Których tum szukał daremnie.

Józef Bohdan Zaleski.

Noc ciemna pokryła dzień letni ale dżdżysty i chmurny — dzień smutny, w którym weseli posępnyimi się stają, a nieszczęśliwi jeszcze mocniej czują ciężar ziemi i utrapień — w którym schylają jeszcze niżej zasmucone głowy, niż listki, co chylą się pod zimnemi deszczu kroplami. Tak i Maryi główka schyliła się ku ziemi — bo ciężar smutku i boleści przyniósł młodą latorośl, zaledwie pierwszych wiosny używającą promieni. Patrz! czy ci nie żal tego drzewka, co tak pięknie kwitnęło i tak radośnie drżało pod wiosennym wiatru powiewem. — Tyś tak się cieszył jego pięknnością, jego młodem i kwitnącym istnieniem — tak długą, tak świetną obiecywałeś mu przyszłość — tyle nadziei widziałeś w każdym szeleście liści, w każdym kwiatku jego — nagle znikły piękne nadzieje twoje, drzewko schyliło młodą główkę, straciło kwiat przyszłości — poschły nadziei listki — wszystko znikło, zostało tylko wspomnienie i żal po krótkim i minionym istnieniu — istnieniu marzeń i szczęścia. — Tak zniknęła piękna Maryi przyszłość — tak ojca jej pociecha i nadzieja — dla tego w dniu chmurnym i posępnym Marya płakała z cicha przy ojcowskim łożu — a ojciec ciężką niemocą i strapieniem złożony, od dwóch już tygodni nie mógł powstać z choroby.

Okropny był dla Maryi powrót do wioski ojcowskiej — gdzie zaraz po smutnych wrócili wypadkach. Jakby matka po stracie jedynaka swego, tak wracała biedna Marya, osierocona ze szczęścia jej wiary. Tam — w ojczyźnie jej czucia przyszłości — nadziei, znalazła znów to czucie samo, ale bez przyszłości — bez nadziei żadnej. W pierwszych chwilach okropnego ciosu nie wiedziała Marya, co się stało, co to wszystko znaczy — wierzyć nie mogła, nie chciała w nieszczęście; później dopiero zwołna odchyłać poczęła zasłonę, którą pierwsza chwila osłupienia na oczy jej zarzuciła. Janusz — Janusz stracony już dla niej — te były pierwsze wyrazy, które na tle jej myśli ognistemi rozpaczyp wypisały się zgłoski i wypaliły w duszy wszystkie marzenia szczęścia i radości, i zostawiły tylko w niej czucie, jak sierotę opuszczonego wśród pustyni świata. Zra-

zu zlorzeczyła Januszowi, że tak samowolnie obalił wspólne szczęście, wspólną zniszczył przyszłość — ale wkrótce jej serce przebaczyło winę i nad wspólną bolało niedolą. Nic — ani słówka jednego zasłyszeć o nim nie mogła — wioskę Janusza sprzedano za dług karciany — resztę ukaziciel pisma jego, wierny i zaufany sługa, odebrał. Podzielili się zyskiem współgracze Augusta — Janusz zaś zniknął — nie wiedzieć czy za granicą, czy w kraju pozostał.

Marya ufała jego słowu i wiedziała, że go ujrzy jeszcze, ale czy pragnęła czy bała się tej chwili, na wspomnienie takowej mocniej zatętniało serce — rumieniec czerwieńił jej lica — lzy goryczy z ocz jej się wyciskały — z obawą spoglądała w około, z obawą patrzyła się w okno — a jednak pragnęła go ujrzeć! bo i któż nie zapragnie zoczyć tego, co kocha, choćby tylko chwilkę, choćby nawet przez własną swą zgubę?

Marya wstała na chwilę od łóżka ojca swego — zasnął mocno, a Marya w pierwszej izbie myślała, dumiała i płakała. O! miała nad czém dumać, miała o co płakać! — bo człek wszystko odzyskać może, ale marzenie szczęścia to stracił raz na zawsze; — ziemia obumarła odrodzi się znowu, majątek stracony nabędzie, zgon lubych się zapomni, przyjaźń powrócić może — ale kwiat marzenia nie zakwitnie raz drugi, ale wspomnienia tego co było nie zatracą się nigdy. Czwała to Marya, a lzy jej były gorzkie bardzo, gdy wsparta na rękę przywołała przed obraz myśli ostatnie chwile spędzone z Januszem w témże miejscu — w takóž ciemny wieczór — wspomniała dalej na te dni wesela, kiedy z bliskiej wioski turkotał co dnia na drodze kocz Janusza, lub skakał rzeski koń jego — a on szczęśny sercem i okiem witał ją tak czule i tak piękną pokazywał przyszłość. I teraz, i w tej chwili coś z dala zatętniało, a myśl Maryi w przeszłość porwana błogą — »tó on!« wymówiła. Tętent ustał, a jeszcze Maryi ucho, Maryi dusza słuchała: drzwi na ganek zaskrzyły, weszła służebna Maryi.

»Pani! pan Janusz!« Marya zaczerwieniła — zbladła — oddech ustał w jej piersiach — Janusz był obok niej, ona go nie widziała; on milczał, tylko całą duszą patrzył się w nią tak chciwie, jakby był chciał tą chwilą odebrać jej życie całe i z swoim je życiem zlać w jedno — ona płakała, bo nie śmiała spojrzeć, bo bała się, by wejrzeniem nie rozpędzić tej mary chwilowego złudzenia. Spojrzała wreszcie, podała mu rękę, i oboje zrozumieli się wzajem, bo lzy zwilżyły dłoń Maryi i oboje łzami się witali.

»Maryo!« mówił do niej, Janusz po chwili — »Maryo! w co się to obróciło nasze szczęście — nasze tak piękne szczęście; tak to wszystko w świecie prochem jest tylko, i prędzej czy później w proch się obróci; i ty Maryo, tak piękna dzisiaj jeszcze, i ty! — czémże będziesz kiedyś? — czémże dzisiaj są nasze nadzieje? prochem — bo wspomnienie, Maryo, to proch pozostały ze straconego szczęścia.«

Tak mówił Janusz, bo dusza jego namiętna i czuła żyć chciała marzeniem i w marzeniu tylko istnienia swego szukała; — świat zraził ją zbyt mocno — jak ślimak, co chowa swe różki za dotknięciem, tak dusza młodzieńca, tknięta mroźnym powiewem, skryła się w rozpacz swojej.

»O! tak Maryo!« mówił znów po chwili — »ja nie na tę ziemię stworzony — jam inną sobie wymarzył — innych ludzi! inne dusze na moim żyją świecie. Ty tylko jedną tutaj biedną pojąć chciałaś sierotę — i nas świat nawet rozłączył. Tyś córka winna ojcu posłuszeństwo, bez skazy w oczach ludzi — ja stracony wiecznie, wygnany, obdarty z majątku, zmazany krwią ludzką! — O Maryo! biedna moja Maryo! płacz, płacz nad sobą — płacz nad straconym szczęściem — ale nie płacz nademną, bo tam, gdzie ja pójść zamyslałam, tam mnie lepiej będzie, niż tobie tutaj.«

»Januszu!« zawołała Marya — »Januszu, nie mów tak do mnie — wszak Bóg jest jeszcze w niebie — wszak nam jeszcze powrócić szczęście może. — O! Januszu! nie uciekaj odemnie, zostań tutaj z nami — ja ojca przebłagam, on taki dobry, on ci przebaczy!«

»O! Maryo moja! ja tu pozostać nie mogę — jam zabójca, ścigany od ludzi — jam biedny sam jeden wśród świata — ja w szczęście nie wierzę. — Moje złote, moje piękne marzenia, śpią w mogile smutnych doświadczeń — połowa mnie umarła i spoczywa pod grobowym głazem; jeszcze tylko czucie me dla ciebie Maryo przyszło pożegnać cię!«

»O Boże!« westchnęła Marya — »o Boże!..... Januszu ulituj się, nie mów o pożegnaniu!« i znów łązy dalszą jej mowę przerwały. »Januszu! ja cię nie opuszczę!« wyjąknęła wśród łkania. Janusz patrzył na nią.

»Biedne dziecię! — biedne nieszczęśliwe dziecię! mogłobyś ze mną smutną wędrówkę odprawiać? — mógłbym ja zabierać ciebie słabe dziecię tam, gdzie siły i wytrwania potrzeba?« — I znów milczeli oboje — w tém cichy i słaby głos wymówił w drugiej izbie imię Maryi. »Ojciec mój woła mnie — za chwilę wrócę« — i pobiegła i wróciła zaraz, bo ojciec tylko we śnie na nią wołał.

»Biedny staruszek! i on cierpi mocno« mówiła Marya — »od dwóch tygodni nie wstaje z łóżka, a żadne leki nie mogą mu ulżyć. Z naszego domu uciekło na zawsze szczęście — lży nam tylko pozostały.«

»I po cóż Maryo — po cóż opuściliśmy ten domek? — Tutaj jam żył w urojeniu, a moje urojenia były razem życiem — o! jakże ja tutaj wymarzyłem świat sobie — jakże kochałem ludzi, a oni zabili moją miłość. Maryo! czemuż to świat nie taki, jak ja go sobie myślałem? czyżby im wszystkim nie lepiej było być dobrymi? cóż ja im zawiniłem? a jednak oni mi życie wydarli!«

»Zostań tu z nami Januszu, a nigdy już nigdzie nie opuścimy tego domu — zostań tu Januszu, albo mnie weź z sobą...«

»Maryo! Maryo!« zawołał znów staruszek chory, jakby ją błagał, by nie opuszczała go. Zrozumiała go Marya, bo umilkła i twarz rękoma zakryła. Na wschodzie błada jutrenka szarzeć wśród czarnej nocy poczęła — Janusz zadrzał na całym ciele — bo znak to był pożegnania Maryi. Krótkie w tej porze roku noce — już po śnie krótkim budzić się poczęły czujne ptaszęta i lębki z pod ciepłych wysuwać skrzydełek. Skrzepione gardziolki witały śpiewem pierwszy zabłysek dzionka i z zielonych listczków spijały krople świeżej i ożywnej rosy. Janusz słuchał chwilę niewinnych ptasząt śpiewki, lecz miłszym byłby mu dzwon żałobny, coby dźwięczał smutnie na pogrzebie nadziei jego.

»Maryo! bądź zdrowa!... a jeżeli możesz zapomnieć, to bądź szczęśliwa!...« Odchyliła ręce od twarzy — już światła blednąc poczęły i zrozumiała, że chwila pożegnania nadeszła. Brzmiał jeszcze głos ojca chorego w jej duszy — czuła, jakie to obowiązki zatrzymywały ją przy rodzica łożu — czuła, że z Januszem ulatują ostatki jej życia — lecz rozpacz jej tylko bezsilna została. Jeszcze jednak jej serce raz ostatni zawołało do Janusza, że pójdzie z nim razem, a Janusz wskazał jej palcem komnatę ojca chorego, a potem niebo szarzące już coraz bardziej brzaskiem dnia bliskiego.

»Tam! — Maryo moja — tam! — tutaj szcuple moje mieszkanie, tutaj Maryo za ciasnoby nam było — pięćdziesiąt ziemi brudnej i czarnej oto moja siedziba, a tam zimno i ciemno. — Maryo! ojciec cię woła, a mnie matka — tam się kiedyś złączymy!«

I już go nie było w komnacie. Na rękę Maryi drżała ostatnia łza Janusza — druga dłoń jej spoczywała na sercu, jakby ulżyć chciała boleści, co je nielitościwie szarpała — oczy płakać nie mogły, a kamień cierpień przygniął jej piersi. Weszło

słońce wesole i świetne, złotemi promieniami osypało ziemię, a ziemia je uśmiechem radości witała. Ludzie do zwykłych dążyli zatrudnień — wszystko odżyło w przyrodzie — wszystko cieszyło się i żyło, w dwóch tylko sercach wygasłe odrodzić się nie mogło już życie. — Wkrótce w Janusza niegdyś wiosce zmarł młodzieniec nieznany, wędrownik przechodni, i dopiero wezwany do łoża duchowny poznał w nim dziedzica przeszłego — poznał w nim Janusza. Długo, długo z nim rozmawiał, a gdy wyszedł, łzy miał w oczach i po licach sędziwych łzy żalu płynęły. W piękny wieczór letni pogrzebano na smętarni Janusza zwłoki — obok matki złożono młode, a tak wcześniej życiem zmęczone ciało — wszyscy płakali z cicha — nikt nie zagadał mu pochwalną mową, księżyc tylko drżący przyświecał z góry bladawym promieniem. — Nie długo złączyła się z Januszem Marya, a choć on jej przyjąć nie chciał w zimne swoje mieszkanie, znalazła i ona pięćdziesiąt ziemi, pod którą złożyła cierpienia.

I porośla kalina na ich wczesnym grobie i co rok świeżemi stroiła się barwy, a nieraz zerwanó kwiat jej i kładziono go na zbolale serce, by mu ulgę i pociechę przynieść. — Niegdyś i Janusz z ust służki wiernego miał daną sobie tę radę, lecz dziś dopiero, gdy na grobie jego wiatr potrząsał kaliny kwieciami, czuł, jak spokojnie zasypia się pod niemi!!!

Pomysły o wychowaniu ludów.

(Ciąg dalszy.)

3. Religia i prawo, jako środki wychowania.

Alé gdy myśl wzrosła i stargala świętą wstęgę powinowactwa z przyrodzeniem — powiada wzwyż przytoczony autor w Kwartalniku naukowym — ród człowieczy odbiegł od matki; żyjące jej oblicze skamieniało, i od tego czasu natura spogląda na nas tajemniczą twarzą Sfinxa. Zdrobniałe pokolenie dostawszy puścizną owę już niezrozumiałą księgę, rozszarpało dziedzictwo na formuły, a szkolnictwo, jak brzydki owad, toczy potargane na sztuki, wiekuiste karty przyrodzenia. Oderwij listek wonny kwiatu, czyliż odżyje, choćbyś go do wrzącego przytulił serca? Czyliż pojdziesz uczucia mistrza z roztrząskanych cząstek Laokoontów? Muzyka, czyliż będzie czémś więcej, jak głuchą wibracją powietrza, gdy nie będzie duszy, co uchwyciwszy następstwo tonów, znajdzie w nich harmonię? — Rodzaj ludzki odszedł więc od natury, skoro przeszedł w stan społeczny, i z głębi ducha swojego własną sobie

utworzył oświatę. To wyjście ze stanu natury było konieczne; musiał przyjść czas, gdy się ród człowieczy usamowolnił, a w tém usamowolnieniu przez własny rozum, popadł na rozstaje i błędy; zapomniał nauk na łonie wspólnej matki natury czerpanych; zapomniał miłości i znajomości Boga, a różności i braterstwa ludzi.

Nauczyciel ludów przewidział i dopuścił tę konieczność, aby zaś nie zostawić ulubieńców i wychowañców swoich bez pieczy i prowadnictwa, którego wtedy najwięcej potrzebują, gdy są puszczeni na własną wolę, i o własnych wątplych siłach rozumu stać mają; — kazał się rozwijać ich stanowi społecznemu na podstawie religii i prawa. Bez religii i prawa nie mogłoby się ostać żadne towarzystwo. Religiją ludzie wewnątrznie z sobą powiązani w całość, prawem zewnątrznie. Bez jednego i drugiego pojąłoby nie można żadnej społeczności ludzkiej. Obojgo najściślej z sobą połączone, i jedno jest drugiego wypływem. Coby znaczyły prawa, albo czyby w ogólności prawa być mogły, gdyby nie było wiary w Boga, która je uświęca i moc obowiązującą nadaje? I przeciwnie, wyznajeż ten i czci Boga, kto prawa nie szanuje? Prawa istnieją w mądrości przedwiecznej, choć nie są nadane; prawa pozytywne są tylko onych praw boskich od wieków i po wszystkie czasy istniejących modyfikacyami. Mądrość Boga, to jego prawa; są to prawdy odwieczne, które prawodawcy narodów mniej więcej dokładnie pojmowali i jeszcze pojmować będą. Im więc doskonalsze pojęcie i uznanie praw, tém doskonalszej religii to dowodem; bo Bóg doskonałej poznany w prawie, doskonałej téż musi być pojęty wiarą. Choćby zaś i najbardziej były wykrzywione wyobrażenia o bóstwie, zawsze przecież w postaci ustaw i religii objawione, będą podstawą społecznego stanu ludu.

Bóg zatem objawia się istotą swoją w upostaciowaniach religii i ustawodawstwa narodów, i obok natury, od której odpadają ludzie, użył je jako środki nauczycielstwa swego.

Środki te, stosownie do tego, cośmy już wyżej wywiedli, muszą być powszechne i otaczać sobą niejako masę ludów, jak oblicze natury zewsząd je otacza. Nado, aby się te środki przyjęły, musi być węzeł pewien, jakby między nauczycielem i uczniem.

Taką powszechność ma przedewszystkiem religia, której przeznaczeniem jest, jak tu jasno widzimy, być koniecznie katolicką. *) I nie będzie zape-

*) Wyraz grecki *katolikos* znaczy powszechny.

wne ludom dobrze, dopóki nie będzie ogólnego kato-
 licztwa w religii na ziemi, dopóki nie będzie jedna
 owczarnia i jeden pasterz. — Katolicka religia spro-
 wadzi koniecznie katolickie prawo. Różność ustaw,
 zasad i prawodawstw jest tak rozliczna, jak różność
 sekt i wyznań, i dla tego tylko jest różność prawa,
 że nie ma jedności wyznania. Ale jak religie zbli-
 żają się już coraz do siebie i zgadzają w głównych
 pewnych zasadach, tak i przez całe prawodawstwa
 nowsze, mianowicie i u oświeconych narodów, co-
 raz większa zachodzi jednostajność i podobieństwo
 ustaw. Nietylko więc między członkami jednego
 narodu, ale między ludami w ogólności, religia i pra-
 wo, zbliżając się coraz bardziej do siebie, dążą
 i zmierzają do coraz rozleglejszej powszechności.

Ta powszechność obu środków nauczycielstwa
 boskiego jeszcze z innej strony jasnie się pokazuje.
 Jest bowiem wymagalnością (postulatem), ażeby ka-
 żdy był obeznany w wierze swojej, choćby z pier-
 wszemi tylko jej zasadami: i niepodobna też przy-
 puścić, ażeby człowiek miał wiarę, a nie wiedział,
 w co wierzy. Rozpowszechnienie jak największe
 jest główną zasadą i leży w obowiązku chrześcian.
 Chrystus wysyłając apostoły i ucnie swoje, rzekł
 do nich: »idźcie na wszystkie narody i opo-
 wiadajcie ewangelią.« Naukę swoją tylekroć
 porównywał do światła, na podobieństwo którego
 miała przyświecać wszystkim ludom — Podobnie
 i prawo powinno być rozpowszechnione, bo to leży
 w naturze prawa, aby było powszechnie znane.
 Dla tego też jest obowiązkiem krajowców obeznać
 się z jego ustawami, i nikt się nieznajomością prawa
 przed władzą za odpowiedzialność tłumaczyć nie
 może. Dawni Rzymianie lepiej byli przejęci tą za-
 sadą, niżeli nowsze czasy, które wymagają znajomo-
 ści powszechną prawa, ale nic ku temu nie czynią,
 i massy ludu w najwyższej zagrzeźły praw niewia-
 domości. Oni sprowadziwszy prawa swoje z Gre-
 cyi, spisali je i wystawili na widok publiczny na
 dziesięciu tablicach. Lud sam był ustawodawcą,
 a sądy były publiczne na rynku, aby każdy nau-
 czył się ustaw krajowych. Gdy prawo jakie miało
 być wniesione, rzecznicy publiczni, podczas targo-
 wych dni z mównic ulicznych, za lub przeciw, nie-
 mu rozprawiali, ażeby lud przygotować na prawo-
 dawcę. Taka była powszechność prawa u Rzymian,
 którzy się przeto stali klasycznym w prawie naro-
 dem, i taka powszechność płynie z istoty prawa.

Ażeby zaś religia i prawo mogły działać na lud,
 musi w każdej jednostce jego złożone być ogniwo,
 którym jest uczepiony łańcuch społeczny. Ta ze-
 wnętrzna postać religii i prawa, a raczej ich kształ-

tów duchowych, kościoła i państwa, musi być
 uczepiona o serca, o wnętrze ducha pojedynczych
 ludzi. Kościół Chrystusów też nie zbudowany z ba-
 zyliki Ś. Piotra, ale z dusz ludzkich. Duch, serce,
 to opoki, na których wystawiony kościół chrześciań-
 ski, przeciwko któremu bramy piekielne nie prze-
 moga. Bo z bazyliki, jak z kościoła jerozolimskie-
 go, nie zostanie kamień na kamieniu, ale religia, na
 wnętrzu człowieka wyryta, nie zginie, póki starczy
 rodu ludzkiego. Otóż węzeł, którym czepi się reli-
 gia ludu, jest wiara jego, której mieszkaniem serce.
 Jeżeli się zapytasz, jak wiara, ta potężna silnia du-
 cha, która robi, że na jej rozkaz (mówiąc słowami
 pisma) góry przenoszą się z miejsca na miejsce;
 ten ogień płomieniem gorejący, co grzeje i oświeca,
 ale i pali wszystko; ten promień niebieski, co ducha
 uszlachetnia i żywot uzdrawia; — jak ona dostała
 się w nas; nie znajdziesz na to innej odpowiedzi,
 tylko, że ją tam Bóg wlał. Jest to iskra światła
 niebieskiego, która przy tworzeniu człowieka przysła
 z promieniejącego oblicza Boga w glinisko, z które-
 go ulepion, i ogrzewa i oświeca duszę, owo tchnie-
 nie Stwórcy, choć i nieraz na niebezpieczny płomień
 się rozżarza. A Bóg chciał mieć złożoną tę iskrę
 w łonie człowieka, ażeby go połączył z sobą. Nie
 ma ludu tak dzikiego i ciemnego, w którymby się
 nie objawiła wiara, aczby najsurowsza i omroczona,
 bo jest potrzebą duszy człowieka. Lud odpadły od
 Boga, nosi przecież w sobie obraz jego choć w za-
 tartych rysach, przeczuwa go, i szuka, i błądzi, ale
 i w błędzie szczęśliwy, bo się ukoilo pragnienie nie-
 wypowiedziane serca jego. Nie ma też niedowiarka,
 w któregooby duszy, w chwilach, kiedy myśl samo-
 tna wnijdzie w się, kiedy oszołomienie rozumu i ser-
 ca jego ustanie, ażeby wtenczas nie odezwał się głos
 sumienia, a serce mu nie powiadało, że to głos Bo-
 ga, którego z tej kryjówki napróżno starał się wy-
 rugować.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Paryża. — Pani Lafarge napisała pamiętniki
 i podała je teraz do druku. Jeżeli szczególniejsza
 ta kobieta umiała wzbudzić tak wielki interes, iż ją
 za główną obrano osobę romansu, to książka, którą
 teraz wydaje, dowiedzie, jak doskonale umie sama
 z życia swego romans ułożyć. Na próbę udzielamy
 przemowę, którą pamiętniki swe poleca. Oto jej
 treść: »Moi przyjaciele! Nie książkę poświęcam, ale

powierzam wam czyny i myśli moje. Przysposobione dziecię waszego serca, nie chcę wam obcą, nieznaną pozostać. Wypowiem wam moje błędy, abyście mi przebaczyli; moją niewinność, abyście mnie bronili; moje zmartwienia, abyście mnie tém więcej i zawsze kochali! W ciszy rozmyślań w mojem więzieniu rozłączyłam się z moimi cierpieniami, aby z wami powrócić na ścieski mojego życia, zapoznałam was z wszystkimi pociechami, z wszystkimi cierpieniami, z wszystkimi łzami mojemu. Przypominałam sobie, płakałam, pisałam. Nie błagałam Boga o wymowę, ale prosiłam o przebaczenie, o prawdę w mojej pamięci, o siłę przekonania w moich słowach. Jeżeli waszą uzyskam pochwałę, jeżeli w was wiarę utwierdzę, jeżeli uprzedzone zwrócę umysły, tom celu mego dosięgła. Szlachetni i drodzy moi przyjaciele, wy, coście mnie wybawili od zwątpienia, biorąc honor mój w obronę waszego przekonania, wy niebo mojego nieszczęścia, błogosławię was po tysiąc razy! Zachowuję moje życie dla walki, moje siły dla przyspieszenia wielkiego dnia prawdy i usprawiedliwienia. Jeżeli Bóg na pół drogi do siebie mnie powoła, powierzam wam sławę mojego ojca, błagam przez grób mój o naprawienie!

Maryja Capelle. «
Armata w Palais-Royal w Paryżu, która za pomocą szkła palącego na zapał ustawionego, i słońca, o 12tej godzinie w południe strzela, nie wypaliła od 65 dni według urzędzeń gazety Commerce dla panującej niepogody, i dopiero 31. Lipca w południe pierwszy raz po tak długim czasie wystrzeliła.

Mormoniści w Stanach zjednoczonych północnej Ameryki. Mormoniści, sekta założona przez Józefa Schmidta, wypędzeni z Missouri, przenieśli się na stronę zachodnią rzeki Mississipi i tworzą teraz prawdziwie wojujący kościół. Ich prorok, Joe Smith, zorganizował swoich zwolenników prawdziwie po wojskowemu, odprawia nabożeństwo w towarzystwie 2000 wyćwiczonych żołnierzy, którzy duszą i ciałem do niego są przywiązani i wydaje rozkazy dzienne, skoro swych uczniów powołuje na kazanie. Ostatni rozkaz brzmi niemal w te słowa: »Jutro będą przytomni nabożeństwu nowo przybyli nam święci, nabożeństwo zacznie się o 10. godzinie w drugiej kolonii. Prorok Joe Smith tam przybędzie i prosić będzie Boga o miłosierdzie dla wiernych. Pierwsza brygada ma być przeto w pogotowiu. Jazda u krańca boru stać będzie na widęcie. Naprzód dragoni, potem ochotnicy, a nakoniec lekka bateria. Za ostatnią stanie lekka piechota, a w odsiecz strzelcy. Karność wojskowa jest pierwszą powinnością chrześcianina, prorok przeto

oczekuje jak najściślejszego wypełnienia swoich rozkazów. «
Otoż nowa sekta, której nie zbywa na przewodniku; potrafi on mieczem i armatami bronić swych zasad. Zresztą Joe Smith nie jest fanatykiem. Przeciwnie, jego zasady bardzo są liberalne, a szczególnie teoria o niebie i piekle wiele rozsądniejsza, niż Prezbjterianów i innych wielu sekt. Liczba jego zwolenników codzień się zwiększa, i być może, że z czasem wystąpi na podboje i wyszuka kęs kraju do wolnego wypełniania swoich obrzędów religijnych.

Chęć wyróżnień. — Kilka osób z wyższej szlachty prosiło Józefa cesarza o wyłączne używanie ogrodu zwanego Augarten, podając przyczynę, iż w ten tylko sposób mogą z równymi sobie przestawać. Cesarz im na to: »gdybym ja też chciał wyłącznie z moimi bawić się rówienikami, musiałbym pójść do grobu Kapucynów.« Augarten przeznaczyl odtąd dla publiczności bez żadnych wyłączeń i kazał na bramie u wnijscia umieścić ten napis: »wszystkim ludziom ku zabawie poświęca ich czciciel Józef II.«

Rozkaz dzienny Bonapartego przeciw rozpaczy miłosnej. — Dzielny żołnierz pierwszej kompanii gwardyi grenadyerów, nazwiskiem Jerome Gerdan, zastrzelił się dnia 11. Maja 1801., powróciwszy do swęj ojczyzny po zwyciężkiej kampanii. Przyczyną samobójstwa była kochanka jego, która w czasie niebytności za innego poszła za mąż. Rozkaz ten dzienny do gwardyi jest następujący:

St. Cloud, 22. Floreala, roku IX. Rzeczpospolitej.
(13. Maja 1801.)

Grenadyer Gerdan zastrzelił się w skutek nieszczęśliwej miłości. Był zresztą dobry żołnierz. Jest to drugie zdarzenie w naszym korpusie. Pierwszy konsul rozkazuje umieścić w dziennym rozkazie do gwardyi: »żołnierz powinien boleść i melancholią umieć zwyciężyć; równie prawdziwej odwagi potrzeba do wytrzymania cierpień duszy, jak do wytrwania w ogniu bateryi nieprzyjacielskiej. Rozpacz uledez bez odporu, zabić siebie aby jęj uniknąć, jest to samo, co opuścić plac boju przed bitwą.«

Bonaparte. Bessieres.
Rozkaz ten dzienny niebył bez wpływu. Od dnia owego nie wydarzyło się w armii żadne samobójstwo.

Boz i wdzięczni jego ziomkowie. — W Anglii lepiej pamiętają o swych powieściopisarzach, aniżeli w naszej ukochanej ojczyźnie. Dzienniki Edyburgskie zapełnione są wiadomościami o uroczystości wyprawionej w stolicy Szkocyi na cześć autora »Pickwickierów.« Dwieściepięćdziesiąt osób zgromadziło się na tę ucztę, a między nimi najpier-

wsi literaci Edynburga. Galerye zajęło przeszło 150 dam, najpiękniej wystrojonych. W pochwale, którą miał professor Wilson na cześć literackiej zasługi Dickensa (Boza), szczególnie wynosił obyczajową i patryotyczną dążność jego powieści i wspominał, że serce ludzkie jest jedno i to samo, czy w pałacach królów i magnatów, dokąd inni poeci przenoszą widownią swoich powieści, czy w chatach nędzy i niedostatku, z których zwykł Dickens z upodobaniem brać wzory do obrazów swoich na przyrodzie i prawdzie opartych. Boz dziękował w skromnych wyrazach i zdawał się być jak na Anglika dosyć wzruszonym.

W zoologicznych ogrodach w Londynie chowają wiele węzów, między którymi szczególnie odznacza się *boa constrictor*. Długi jest na dwadzieścia stóp i waży przeszło dwa centnary. Dozorcy kąpią go czasem i starają się oswoić, wchodzą do niego do klatki, chędożą ją, a wąż tymczasem w kącie zwinęty spoczywa. Przed kilku dniami dozorca jeden, nazwiskiem Blackburn, porzucił węzowi żywego królika na pożarcie; boa się podniósł i zamiast królika chwycił dozorcę za rękę. Ten natychmiast się cofnął i pociągnął część ciała węża za sobą; wąż zaś czując się uniesionym otoczył zwojami swemi ciało dozorcę. Blackburn był sam tylko; gdyby nie jego przytomność i siła, zapewne o śmierć byłby przyprowadzony; pochwyił węża z całą siłą za szyję i tym sposobem wąż go popuścił cokolwiek, tak iż się nareszcie ze zwojów jego uwolnił i szybko drzwi klatki za sobą zamknął. Przybywszy do innych dozorców odpowiedział zdarzenie i padł bezsilny na ziemię. Boa takiej wielkości, jeżeli całej użyje siły, w stanie jest połamać wszystkie kości w bawole, około którego się owinał.

Sklepy wielkie paryzkie olśnić mogą przechodzących swemi ogromnemi zwierciadłami, za którymi tak wielkie mnóstwo złożonych jest towarów, iż i milionowe urojenia są w stanie zaspokoić. Tam widać nagłe bieganie i przelatywanie się; kupczykowie i panienci pomagające im w sprzedaży, kupujący i chęć kupna mający krzyżują się we wszystkich kierunkach. »Co pan, co pani żądasz?« ze wszystkich stron wołają. Każdy *commis* ma swój wydział, którego sprzedaje wyłącznie. Jeżeli kupujący pyta o rzecz, która do jego wydziału nie należy, natenczas z wielką uprzejmością bywa odprowadzony do właściwego kupczyka. Tak n. p. w wielkim składzie towarów jedwabnych u pani Delille są osobne sale do wyboru sukien balowych i toalet na wieczorne towarzystwa. W tych salach nie masz światła dziennego, tylko dzień i noc pali się gaz, aby kupujące damy

mogły się przekonać, jaki wpływ wywierają lśniąca tkaniny jedwabne, atłasy lub inne towary przy sztucznym świetle. W tych składach ogromnych z największą wytrwałością pokazują wszystko, co sobie kto życzy lub nie życzy oglądać, aż nareszcie kupi mimo swęj woli. Nawet i mniejsi kramarze umieją z gustem swe budy wystrajać.

Niewolnicy u mrówek. — Szczególniejszém to jest zjawiskiem, iż niektóre mrówki do swych robot używają innych rodzaj mrówek, porywając i unosząc je przemocą do swoich gniazd. Ile wiemy, są to mrówki koloru czerwonego lub bladego, niewolnicy zaś u nich są czarne, tak jak nieszczęśliwi mieszkańcy Afryki wśród ludzi. Ztąd też południowi Amerykanie wywodzą swe prawa, że niewola na naturze jest oparta. Czas porywania tych niewolników trwa przez dziesięć tygodni i nie rozpoczyna się wcześniej, aż mrówki z poczwarek poczną wychodzić. Skoro czerwone mrówki chcą udać się na podobne łupiestwo, wysyłają naprzód śpiegów dla wynalezienia kolonii czarnych mrówek. Śpiegi wracają po ich odkryciu i zdają z niego sprawę. Niebawem rusza cały zastęp czerwonych mrówek, na czele straż, którą odnawiają od czasu do czasu i tylko z ośmiu mrówek jest złożona. Jeżeli są w bliskości kolonii czarnych mrówek, natenczas rozsypują się i szukają. Nakoniec znajdują kolonię tę, natychmiast straż przednia naciera i zwykle ginie. Tymczasem w gnieździe wielkie powstaje wzburzenie, czarne tysiącami wychodzą, czerwone idą naprzód i walka rozpoczyna się zacięta, która przecie zawsze klęską się kończy czarnych, cofających się do najodleglejszych swoich kryjówek. Wtenczas poczyną się rozbój i łupiestwo. Czerwone mrówki rozbijają boki kolonii czarnych i dostają się do wnętrza ich cytadeli. W kilka minut każda czerwona wraca z poczwarką czarnej, unosząc ją w pyszczku. Czerwone mrówki wracają w porządku do swego gniazda i niosą żyjątka czarnego pokolenia. W gniaździe pielęgnują uniesione poczwarki jak własne, a skoro te opuściły swe mieszkania, pracują jak najchętniej i bez przymusu dla czerwonych. Wyporzadzają gniazdo, kopią przechody, zbierają pożywienie, żywią larwy, wynoszą poczwarki na słońce przed gniazdo, jedném słowem wypełniają wszystko, czego wymaga pomyślność kolonii.

Pewien Anglik odebrał sobie niedawno życie, ulegając dawniej przez wiele lat dziwaczności. Od lat dwudziestu zamawiał dla siebie co pół roku trumny, oglądał je, przymierzał, i nigdy niemi nie był zadowolony. Kiedy mu stolarz trumnę nową przyniósł, oglądał ją na wszystkie strony, jak elegant frak nowy.

Wchodził w trumnę, i nigdy nie znalazł dla siebie dogodnej, ta mu była za długą, owa za krótką, inna za obszerną lub ciśła w ramiona. Jednym słowem dwunastu stolarzy pracowało dla dziwnego Anglika, niemogąc go zaspokoić. Ostatniemu naręcznie udało się lepij, i Anglik doniósł swym przyjaciołom, że z chęcią przenosi się na tamten świat. Zażył trucizny, zaprosił do siebie swoich przyjaciół, położył się w ich obecności w trumnę i umarł.

Drogi kamienie i klejnoty świątyni słońca, które w czasie zdobycia Peru przez krajowców przechowane zostały, aby się w ręce Hiszpanów nie dostały, znaleziono niedawno temu w Cerro de Pasco; ich wartość podają na 180 milionów dolarów (dolar 8 złot. polskich).

M O D Y. — Paryż, dnia 10. Sierpnia 1841. — Od ostatniego listu mojego kilka nowości się ukazało. Suknie na wieś i do podróży robią z dreli-szku fantazyjnego, lub piki angielskiej we wzory lub jednostajnego koloru. Krój ich à l'Amazone, bez żadnych ozdób, okrom sznurów lub guzików. Kształt ten stósują też do nowej tkaniny pagne zwanęj; jest teraz ona poszukiwaną i zastępuje nankiny, których kolor przybrała, z tą jednak różnicą, iż tkaną jest z włókien kory, i dla tego bywa twardszą i lekciejszą. Także z pagne wyrabiają kapotki na ranne wzięcie, zdobiac je zielonym aksamitem lub girlandą kwiatów.

Dawny bazin znów został nowością. Z niego to tworzą otwarte szlafroczyki, przeznaczone na przechadzki lub po domu. Orzucają je paskami w rulki ułożonemi, które pomniejszając się aż do kibici, zwiększają dalej ku szyi, otaczając ją bardzo zgrabnie. Podobnie używają perkalów glasgowskich i te są równym garniturem, lub też gładką mechelską koronką osadzone. Perkal ten miękciejszy od bazinu, dozwala się układać i w mniej pojedyncze kształty.

Za nowość bardzo miłą uchodzą suknie z tarlatanu różowego, niebieskiego, i w nankinowym kolorze, używają go do toalet obiadowych, wieczornych i uroczystych. Korale do tych toalet za klejnoty.

Czy uwierzyć można, że i niebieskie rękawiczki poczęści się upowszechniły? Robią bez i z palcami w kolorze blade-niebieskim, na guziczki podwójne zapinane, łańcuszkiem połączone.

Szlafroczyki z białego tarlatanu, z przodu haftowane, bywają z stanikiem na piersiach w kształt pią-

tki rzymskiej (V) otwartym. Piątka ta osuta jest podobną fręzlą jak powłoka.

Zamiast muślinów podobają się teraz jaconety malowane, baręge w jasnych kolorach. Jednokolorowa kitajka uchodzi za pełną gustu. Tul-gaze, bardzo lekkie, są także poszukiwane.

Ukazują się obecnie długie szale kaszemirowe, z bramowaniem w drobne zębki lub fręzle u długich końcy; najgustowniejsze są białe i bardzo szerokie. Ale i inne tkaniny biorą na szale, z podszyciem su-tém jedwabnym, w odmiennym kolorze, tak że z obu-dwóch stron rozmaicie wyglądają.

Jakież się to stare rzeczy powtarzają teraz, przeważnie lekkimi szalami! Prują, przykrawają, zszywają dawne stroje, by choć na chwilę zabłysnąć nowością, a przynajmniej starą w nowym kształcie. Krótkie rękawki weszły w modę, najdawniejsze przeto suknie z ukrycia dobywają i noszą. Spencerki wróciły, przeto i wypełzłe suknie mają swoją przyszłość. Dobry jest koniec tulowej peleryny, kiedy kapotką umiera, szczęśliwa suknia organtynowa, przedzierzniona w piękny canezou.

Co do mód męzkich, pozostają kształty na wiosne zapowiedziane; lekkie tkaniny i kształty obszerne i wygodne. Surduty z krótkimi połami, półszerokimi wyłogami i obcisłymi rękawami. Fraki z szerokimi połami i wyłogami gładko, a szeroko na piersiach rozpościerającemi się. Kamizelki w rozlicznych kształtach, już bardzo rozwarłe, już ku górze spięte. Fraki do konnej przejazdki odznaczają się guzikami w płaskorzeźbę srebrną lub złotą. Pantalony w pasy wązkie lub w kratkę. Na rano bez podpinek.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór męzki. Latowy paletot, jasne pantalony i bóciki zapinane.
2. Kapeluszyki piórami zdobny, pod obwodem kwiaty. Szlafroczyk z tkaniny prążkowanej. Stanik gładki, w trzy rzędy guziki, stanik z przodu okrągły. Powłoka z rzędem jednym guzików i falbany dwie na przeciw splywające.
3. i 4. Ubiory dzieci.
5. Pojedynczy strój głowy, z boku róży gałązka. Suknia muślinowa, w kształt tuniki haftowana. Szarfa muślinowa, suto haftowana i orzuciona falbaną koronkową.



L. B. ...

